

Mieczysław Jarosz

Trzy po trzy : wspomnienia obron w różnych sprawach karnych : ciekawsze sylwetki sędziów warszawskich w okresie międzywojennym : (dokończenie)

Palestra 2/12(12), 47-63

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW JAROSZ

adwokat

Trzy po trzy

Wspomnienia obron w różnych sprawach karnych.
Ciekawsze sylwetki sędziów warszawskich w okresie międzywojennym.

(dokończenie)

Zgon adwokata Mikołaja Korenfelda na sali sądowej. W kolumnowej sali pałacu Paca w Warszawie zasiadło na ławie kilkunastu podsądnych z dr Budzińską-Tylicką na czele, oskarżonych o zadanie ciężkich uszkodzeń ciała policjantom w czasie demonstracji w Al. Ujazdowskich. Bronilem wówczas kilku oskarżonych. Rozprawie przewodniczył sędzia Neuman, późniejszy naczelnik wydziału w Ministerstwie Sprawiedliwości za czasów Grabowskiego, b. wiceprezes rady miejskiej w Siedlcach z ramienia narodowej demokracji, po zamachu majowym lojalny sanator. Przewód sądowy ciągnął się dość długo. Prokuratura powołała wielu świadków, głównie funkcjonariuszy PP, konfidentów itd.

W pewnym stadium rozprawy stanął przed sądem adwokat Mikołaj Korenfeld, powołany przez obronę. Korenfeld, powszechnie szanowany dla swych zalet charakteru, był już w podeszłym wieku. Ze szczególną ofiarnością interesował się losem młodocianych, nieletnich przestępców.

„W niedzielę w południe wracałem do domu z wnuczką Al. Ujazdowskimi” — zaczął swoje zeznania adwokat Korenfeld. „Po wiecu w Dolinie Szwajcarskiej maszerowali robotnicy Al. Ujazdowskimi, śpiewali, wznosili okrzyki. Gdy czoło pochodu zbliżało się do wylotu Wilczej — nagle z Alei Róż wyskoczyli policjanci konni i zaatakowali pochód od tyłu. Na spienionych koniach...”

W tym miejscu padło z ust przewodniczącego ironiczne pytanie: „Gdzie to świadek dojrzał tę pianę, na ogonie końskim, czy pod ogonem?!”

Korenfeld zamilkł. Przewodniczący powtórzył pytanie silniej, zjadliwiej. Spojrzałem na Korenfelda. Zbladł jak kreda, trząsał się, trzymał się

rękoma oparcia dla świadków, po chwili runął na wznak. W sali powstało zamieszanie. Neuman zarządził przerwę. Dr Budzińska-Tylicka dobiegła do Korenfelda, ujęła go za puls i po chwili głośno oznajmiła: „Nie żyje!”

Neuman stał z boku za stołem i przyglądał się. Nie wytrzymałem i wy-paliłem pod jego adresem: „Psiakrew, zabił człowieka!” Spojrzał na mnie wściekłymi oczyma. W odpowiedzi razem z kol. Rudzińskim rzuciliśmy kilka słów potępienia na jego głowę. Szybkim krokiem opuścił salę.

Rozprawę odroczone. Neumana przeniesiono do Ministerstwa Sprawiedliwości. Odtąd towarzyszyła mu zdecydowana niechęć, a nawet pogarda ze strony adwokatów.

Związek Nauczycielstwa Polskiego i redakcja „Płomyka” contra „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Dnia 2 marca 1936 r. ukazał się nr 67 „Płomyka”, poświęcony m.i. różnym urządzeniom w Związku Radzieckim. Na treść numeru składały się artykułiki o radzieckim teatrze dla dzieci, list radzieckiego pioniera do angielskiego skauta. opowiadanie Zoszczenki pt. „Kalosz”, wiersz Or-Ota pt. „List z Sybiru”, artykułik pt. „Polacy na Kremlu”, opisujący zajęcie Moskwy przez Żółkiewskiego, wspomnienia carskich zesłańców z Sybiru. Całość była ilustrowana zdjęciami dostarczonymi przez znaną agencję fotograficzną Keyston.

W kilka dni później, bo już 7 marca, krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” w artykule pt. „Szaleństwo czy zbrodnia” zaatakował ZNP i redakcję „Płomyka”, zarzucając szerzenie propagandy radzieckiej i demoralizowanie młodzieży. W odpowiedzi na atak ZNP wystąpił ze skargą o zniesławienie. Do rozprawy w Sądzie Okręgowym w Warszawie doszło dopiero pod koniec października 1936 r. Wspólnie z kol. Brzechwą podjąłem się prowadzenia sprawy na prośbę Stanisława Machowskiego, członka zarządu głównego ZNP i redakcji „Płomyka”. Był to proces, w którego wynik korzystny od początku — przyznam się — nie bardzo wierzyłem. Aby zrozumieć moje pesymistyczne nastawienie, trzeba przypomnieć pewne wydarzenia z lat 1934—1936, z okresu kryzysu ekono-micznego.

W tym to czasie we wszystkich wielkich ośrodkach przemysłowych rozgorzała zdecydowana walka, w której obok żądań natury ekonomicznej wysunięto postulaty polityczne. Domagano się m.i. zmiany zagranicznej polityki rządu sanacyjnego, zerwania paktów z hitlerowskimi Niemcami. W kraju na tle tych żądań doszło do krwawych demonstracji.

ZNP nie cieszył się już wtedy sympatią sfer rządowych i kleru. Po przewrocie majowym większość członków zarządu głównego ZNP, jak i poważna część nauczycielstwa, członków związku, należała do obozu

sanacyjnego. Stan ten jednak ulegał zwolna zmianie. Na tle kryzysu, masowego bezrobocia nauczycielstwa, nędznych warunków materialnych, zwłaszcza po świeżo przeprowadzonej reformie płac i ogłoszeniu nowej pragmatyki służbowej, w szeregach nauczycielstwa zaczął się szerzyć zdecydowany ruch oporu. W roku 1935 Walny zjazd delegatów uchwalił zarządowi głównemu ZNP wotum nieufności i wkrótce później omal cały związek, obejmujący z górą 50 tysięcy członków, zajął zdecydowanie opozycyjne stanowisko wobec ówczesnego rządu. Wyraziło się to m.i. w odmowie podpisania odezwy wzywającej wyborców do głosowania na kandydatów rządowych.

Dlaczego IKC zaatakował tak gwałtownie redakcję „Płomyka” i ZNP? Czy ze względów ideowych? Posłuchajmy. IKC, a raczej grupa ludzi redagujących to pismo, wydawał „Tajnego Detektywa”, w którym szeroką falą rozlewały się opisy przeróżnych zbrodni. Młodzież, jak było do przewidzenia, czytała z wielkim zainteresowaniem to piśmidło, co znowu z kolei spotykało się ze sprzeciwem ZNP. Wtedy IKC postanowił wydawać pismo przeznaczone wyłącznie dla młodzieży i starał się nawet wejść w kontakt z ZNP. Gdy starania te nie doprowadziły do celu, grupa IKC postanowiła wydawać na własną rękę pismo dla dzieci. Już wówczas w sferach rządowych krążyły głuche wieści o zamierzonej likwidacji wydawnictw ZNP dla dzieci z powodu jego opozycyjnego nastawienia wobec rządu. I właśnie w tym czasie ukazał się nr 67 „Płomyka”, który dla IKC stał się doskonałym pretekstem do napaści i przeprowadzenia własnych zamierzeń wydawniczych.

Artykuł IKC wywołał w prasie szereg podobnych wystąpień, zwłaszcza na ziemiach zachodnich. Dnia 10 września 1936 r., poniekąd z inicjatywy, a przynajmniej przy walnym współdziałaniu ZNP, uchwalono deklarację społeczno-gospodarczą jako zasadniczą podstawę zespolenia kilkudziesięciu związków pracowniczych, skupiających dwieście tysięcy członków. W deklaracji sprecyzowano szereg żądań zmierzających do przebudowy ustroju gospodarczego. Deklaracja odpowiadała ówczesnym postulatam Frontu Ludowego. W takiej to atmosferze politycznej rozpoczął się w dniu 29.X.1936 r. w Wydziale III Karnym Sądu Okręgowego w Warszawie proces przeciwko IKC.

Jak już wspomniałem, w roli oskarżycieli wystąpiłem razem z kol. Brzechwą; w roli obrońców IKC występowali koledzy Michał Skoczyński z Warszawy i Brem z Krakowa. Rozprawie przewodniczył wiceprezes III Wydziału Majewski z udziałem sędziów Danielewicz i Olszewskiego. Na wniosek stron powołano wielu świadków z różnych sfer. Ze strony ZNP przybyli: Wacław Sieroszewski, redaktor Wincenty Rzymowski,

prof. Jan Bystroń, Albin Jakiel, wielu nauczycieli, zasłużonych działaczy na niwie pedagogicznej. Tu muszę podkreślić, że zawiedliśmy się nieco na Wacławie Sieroszewskim. Był to już człowiek wówczas w mocno podeszłym wieku. Gdy nadto obrońcy IKC szepnęli mu, że ja przed kilku laty, występując w roli obrońcy więźniów brzeskich, wystąpiłem przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu, zacny nestor powieściopisarstwa polskiego, związany blisko z osobą Piłsudskiego od wielu lat, ustosunkował się do stawianych mu pytań bardzo powściągliwie. Stosunek sędziów do sprawy przez nas bronionej był od początku — nie powiem stronnicy, ale zdecydowanie niechętny. W tonacji głosu sędziego formułującego pytania, w traktowaniu wniosków znajdzie adwokat potwierdzenie negatywnego stosunku sądu do danego zagadnienia. Nad procesem wisiała zresztą jak wielka, ciężka, dusząca mgła ówczesna atmosfera polityczna.

Nie mam pod ręką akt sprawy, czerpię wszystko z pamięci i artykułu umieszczonego w „Prawie i Życiu” z r. 1956 omawiającego proces „Płomyka”.

Jednym z głównych świadków ze strony IKC był ks. prałat Kwiatkowski, dyrektor naukowego Instytutu Badania Komunizmu. W czasie zeznania demonstrował ilustracje umieszczone w pismach zagranicznych twierdząc, że są to wydawnictwa radzieckie i że stamtąd „Płomyk” wziął zdjęcia do numeru będącego przedmiotem sprawy. Zadałem mu pytanie:

— Czy ksiądz słyszał kiedy o agencji Keyston?

— Tak!

— A czy księdzu wiadomo, że ilustracje zamieszczone w „Płomyku” pochodzą z tejże agencji?

— Nie jest wykluczone, że i w agencji Keyston siedzą również bolszewicy.

— Czy agencja Keyston dostarcza wszystkim państwom zdjęć z faszystowskich Włoch i hitlerowskich Niemiec?

— Tak, wiem o tym.

Doskonałą indagację przeprowadził kol. Brzechwa:

— Co ksiądz może powiedzieć o tendencji moralnej następującego zdania: „Poczucie socjalistyczne jest polotem ducha ku lepszemu bytowi nie indywidualnemu, lecz wspólnemu, solidarnemu”?

— Miałbym zastrzeżenia co do słowa „socjalistyczne”.

— A ksiądz wie, czyje to słowa?

— Nie.

— Napisał je Mickiewicz w „Trybunie Ludów”.

Mimo zeznań wielu świadków, wysiłków naszych — sądy we wszystkich trzech instancjach zajęły zgodne stanowisko. „Płomyk” i ZNP proces

przegrały! Nie dość tego: wyrok uniewinniający redaktora IKC pociągnął za sobą szereg nowych oskarżeń i ataków wymierzonych w ZNP i redakcję „Płomyka”. obrońcy „Płomyka” i ZNP otrzymywali anonimowe listy zawierające, jak się można łatwo domyślić, przeróżne epitety, wyzwiska itp. podobne wyrazy potępienia.

Proces „Płomyka” był jednak wydarzeniem, które zdemaskowało opinię publiczną obu przeciwnych obozów i odbiło się szerokim echem w prasie krajowej i zagranicznej. I dlatego poświęciłem mu nieco obszerniejsze wspomnienie.

Żonobójcy. Tak się jakoś złożyło, że po obronie Edmunda Wesołowskiego, oskarżonego o zabójstwo żony przy stole wigilijnym, wkrótce potem wystąpiłem w kilku podobnych sprawach. A więc broniłem Piotra Glaubicz-Rokossowskiego, który w „Nirwanie”, kasynie gry przy Mokotowskiej, wystrzałami z rewolweru pozbawił życia swą żonę. Broniłem go razem z kol. Jerzym Berlandem. W niespełna rok później broniłem Śniegockiego, inżyniera Kozaka, przodownika PP Dyskiego.

Obrony w tych sprawach wydać się mogą proste w ujęciu, łatwe. Cóż? zabił, działał pod wpływem silnego wzruszenia! Z drugiej strony na ludziach stojących z dala od sali sądowej wywierają one wrażenie ponu-nych, pełnych grozy. I jeden, i drugi sąd jest mylny.

W Rzeszy niemieckiej przed wojną ukazywały się ciekawe monografie procesów karnych pt. *Eifersuchtmörder, Liebesmörder, Frauenmörder*. Były to jakby jednorodziejowe pitawale, w których wydawca zgromadził szereg spraw karnych o zabójstwo, opartych na podobnych motywach.

Dokładne przestudiowanie sprawy umożliwi zrozumienie psychiki pod-sądnego, który pod wpływem afektu zabija żonę lub inną osobę, a zara-zem przekona, jak pracowita i trudna jest nieraz rola obrońcy w podob-ny procesie. Aby udowodnić, że podsądny powziął zamiar i dokonał za-bójstwa pod wpływem silnego wzruszenia duchowego, nie wystarczy po-wołać pewne konkretne dane z pożycia małżeńskiego czy innych kontak-tów i udowodnić je świadkami (jeśli się ich ma do dyspozycji). Należy przede wszystkim zwrócić szczególnie baczną uwagę na te wszystkie oko-liczności, które wywołały nagle silne wzruszenie i doprowadziły do tra-gicznego finału. Wydobyć i ukazać w możliwie dokładnym oświetle-niu emocjonalnego procesu pozwoli zrozumieć psychikę oskarżonego w chwili zabójstwa. Z tą chwilą wrażenie ponurości ustępuje miejsca zro-zumieniu nieszczęścia. Czymże jest owo silne wzruszenie duchowe, ów afekt? Literatura poświęcona temu zagadnieniu jest bogata.

Art. 458 k.k. z 1903 r. brzmi: „(...) winien zabójstwa zamierzonego i dokonanego pod wpływem silnego wzruszenia duchowego”. Art. 225 §

2 k.k. stanowi: „Kto zabija pod wpływem silnego wzruszenia (...)”. Pozornie wydawać by się mogło, że dla bytu przestępstwa z art. 225 § 2 k.k. decydującym czynnikiem jest istnienie afektu w chwili dokonania zabójstwa, natomiast obojętną będzie rzeczą, czy zamiar powstał pod wpływem afektu. Otóż tak nie jest. Człowiek może pozostawać przez dłuższy czas pod wpływem pewnego uczucia, którego nasilenie może być różne, aż wreszcie w chwili krytycznej nagle przybierze ono na sile i przejawia się w postaci krótkiego wybuchu. Takie gwałtowne nasilenie uczucia stanowić będzie silne wzruszenie, czyli afekt we właściwym znaczeniu, który uzasadnia kwalifikację z art. 225 § 2 k.k.

Afekt fizjologiczny, który jest u podstaw bytu przestępstwa z art. 225 § 2 k.k., przejawia się w różnych zmianach: w obiegu krwi, oddechu, wydzielaniu gruczołów, ruchach ciała itd.

Inż. Kozak, kreśląc swój stan na chwilę przed daniem strzału do księcia Kuradzego, opisał dokładnie wszystkie zmiany towarzyszące powstaniu afektu fizjologicznego. I to jest dowodem i wskazówką zarazem dla obrony, na co należy w czasie indagacji z podsądnym zwracać baczną uwagę, aby nie pominąć istotnych szczegółów potwierdzających działanie pod wpływem afektu.

Od afektu fizjologicznego odróżnić należy afekt patologiczny, którego przebieg jest znacznie szybszy, a nasilenie reakcji emocjonalnej większe. Również zaburzenia świadomości są tu głębsze, a po wygaśnięciu afektu występuje wyczerpanie sił fizycznych i psychicznych większe niż po afekcie fizjologicznym. I wreszcie po afekcie patologicznym pozostają pewne luki pamięciowe, których nie ma w afektach fizjologicznych¹.

Jeden z podsądných, którego broniłem w podobnej sprawie, był tak fizycznie i psychicznie wyczerpany, że nieomal bezpośrednio po daniu ostatniego strzału usiadł w fotelu i zapadł w głęboki sen. I w takim właśnie stanie ujęła go policja. Sąd wbrew opinii biegłych psychiatrów, którzy orzekli, że zabił pod wpływem patologicznego upojenia afektem, uznał go (niesłusznie) za winnego zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia duchowego, aczkolwiek powinien był go uniewinnić.

Ostatnio Sąd Najwyższy zaczął wartościować uczucia i doszedł do wniosku, że takie uczucia, jak zemsta lub zazdrość, które w sądownictwie burżuazyjnym decydowały o przyjęciu afektu, muszą odpaść w sądownictwie Polski Ludowej, albowiem wyrastają one z dążenia do władztwa człowieka nad człowiekiem, są pobudkami niskimi i sprzecz-

¹ Krystyna Daszkiewicz-Paluszyńska: Zabójstwo pod wpływem silnego wzruszenia.

nymi z założeniami ustrojowymi. Sprawca przestępstwa działający z takiej pobudki — powiada S.N. — nie może powoływać się na stan silnego wzruszenia (wyrok z 23.I.1952, I.K. 1575/51).

Powyższy pogląd spotkał się z zdecydowanym i słusznym sprzeciwem psychiatrów i prawników. Zapewne, byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby podobne wydarzenia nie miały miejsca. Niestety, dopóki w świadomości człowieka powstawać będą takie uczucia, jak zazdrość, gniew, zemsta, i dopóki prowadzić one będą do wybuchu afektu, dopóty nie wolno ich pomijać w wyrokowaniu. Cóż jest tu bowiem motywem działania? Gniew, nienawiść, zazdrość, strach? Niewątpliwie tak, ale nie każdy przejaw gniewu czy zazdrości można uważać za silne wzruszenie duchowe. Jeśli gniew lub zazdrość doprowadzi do powstania procesu emocjonalnego, który opanuje człowieka nagle w postaci krótkiego wybuchu, wtedy niewątpliwie człowiek działa pod wpływem silnego wzruszenia, afektu fizjologicznego! I tu wszelkie wartościowanie uczuć nie przekreśli faktu, który sąd musi uwzględnić.

Również trudno pogodzić się z poglądem Sądu Najwyższego zawartym w wyroku z 2.II.1953 r. I.K. 1615/52/I, jakoby stan silnego wzruszenia przewidziany w art. 225 § 2 k.k. zachodził jedynie wówczas, gdy wzruszenie wynikało z uzasadnionych pobudek. Tu Sąd Najwyższy przekreśla proces hamowania w korze mózgowej i usiłuje niejako przyjąć, że w afekcie pracuje w pełni intelekt. Słusznie zarzucono S.N., że „tworzenie dwóch typów afektu: afektów powstających w wyniku przyczyn «uzasadnionych» i «nieuzasadnionych» nie znajduje oparcia ani w psychologii, ani w fizjologii”².

Sprawa Rokossowskiego miała swoiste podłoże. Ożenił się z młodą dziewczyną, kelnerką, którą starał się nie tylko wykształcić, ale przede wszystkim dźwignąć na odpowiedni poziom moralny. Niestety, wysiłki nie doprowadziły do zamierzonego celu. Nawet powiększająca się gromadka dzieci nie wpłynęła na zmianę postępowania żony. Rokossowski, zmęczony ciężką chorobą, zdawał sobie sprawę, że w tej walce nerwów długo nie wytrzyma. Kiedy raz zwrócił uwagę żonie, że czeka i ją, i dzieci nędza, gdy jego zabraknie, usłyszał w odpowiedzi: „A cóż ty myślisz, że się będę twoimi bękartami opiekować?” Domyślał się, że żona go zdradza, później miał tego dowody, na koniec żona porzuciła dom i zaczęła wieść życie, które doprowadziło do tragicznego finału.

Dnia 20 maja 1923 r. przechodził w nocy obok „Nirwany”. Zatrzymał się przed gmachem i po chwili wszedł do hallu, aby nieco odpocząć.

² Krystyna Daszkiewicz-Paluszyńska: *ibidem*.

I tu nagle ujrzał żonę. Obrzuciła go pogardliwym uśmiechem. Siedziała w towarzystwie jakiegoś gacha, z papierosem w ustach, z zadartymi nogami. Zmierzyła jeszcze raz męża wyzywającym uśmiechem. Widoku tego nie mógł znieść, nie mógł oprzeć się opanowującym go nagle i gwałtownie uczuciom żalu, gniewu, zazdrości! Sięgnął do kieszeni po rewolwer i wystrzelił.

Rozprawa trwała cztery dni. Przewodniczył sędzia W. Laskowski, oskarżał prokurator Wasserberger. Przez salę przewinęła się spora gromada świadków z osławionym Hertzem, kierownikiem prywatnego biura detektywów „Pinkerton” na czele; on to dostarczał Rokossowskiemu wiadomości o różnych ekstrawagancjach żony.

Sąd uznał Rokossowskiego za winnego zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia duchowego i skazał go na cztery lata więzienia. W rok później Rokossowski został ułaskawiony.

Podobne podłoże miała sprawa Wacława Śniegockiego, urzędnika kolejowego, który po wieloletnim zmaganiu się z zakłamaniami, cynicznymi wybiegami żony i marnotrawieniem przez nią grosza wpadł w chorobę nerwową. Perswazje rodziny tak ze strony męża, jak i żony nie odnosiły skutku. Żona brnęła dalej przez bagno. Pewnego wieczoru po powrocie do domu zastał żonę w towarzystwie obcego mężczyzny w sytuacji wcale niedwuznacznej. I wtedy pod wpływem nagle powstałego procesu emocjonalnego jednym strzałem zabił żonę. Sąd Okręgowy pod przewodnictwem sędziego Rykaczewskiego skazał go na rok więzienia.

Starszy przodownik PP Dyski po powrocie do domu ze służby zastał żonę w towarzystwie policjanta, który nie zdążył uporządkować na sobie ubrania. Zjawienie się Dyskiego zaskoczyło żonę i gacha. Zdradzony mąż sięgnął po rewolwer i trzęsąc się z gniewu, przystawiał rewolwer do głowy ofiar i strzelał. W sprawie tej przeciwnikiem moim w roli obrońcy był kolega Niedzielski. Ja występowałem w imieniu rodziny zabitej o symboliczną złotówkę. Treści wyroku nie pamiętam.

Inż. Kozak stanął przed sądem w roli oskarżonego o zabójstwo księcia gruzińskiego Kuradzego, którego posądzano o uwiedzenie mu żony. Sprawa, jak wiele tego typu, miała podobne podłoże. Zaczęło się od towarzyskiego zbliżenia, uczęszczania do teatru, kawiarni w towarzystwie męża i przyjaciela. Z czasem przyjaciel zaczął zastępować męża, który nie dysponował wolnym czasem. W końcu przyjaciel zaczął codziennie składać wizyty, najchętniej pod nieobecność męża. Inż. Kozak z początku je tolerował, potem robił wymówki żonie, w końcu zażądał stanowczo od żony, aby położyła kres tym odwiedzinom. Sam nie umiał zdobyć się na takie postawienie sprawy.

Pewnego dnia przed południem odezwał się dzwonek w przedpokoju mieszkania Kozaka. Zanim zdążył wyjść z pokoju, usłyszał dobrze mu znany głos Kuradzego, którego z niekłamaną radością zapraszała żona do saloniku. Kozak oburzył się, zaszył w swym gabinecie, zaczął pracować, kreślił rysunki, lecz praca szła mu bardzo opornie. Nie mógł skupić myśli, odkładał papiery, znów je brał do ręki. „Zauważyłem w pewnej chwili — wyjaśniał później w sądzie — iż ręka mi drży, ołówek skacze po papierze, czego nigdy przedtem u siebie nie zauważyłem. Wtem doleciał z przedpokoju radosny śmiech żony i Kuradzego. Wstałem szybko od biurka, coś mnie gnało, z trudem mogłem oddychać. Zrobiło mi się nagle gorąco, pot zrosił czoło. Uchyliłem lekko drzwi i ujrzałem żonę w objęciach Kuradzego; ścisnął ją, całował. Nie wiem, co stało się ze mną w tej chwili. Sięgnąłem do kieszeni po broń i strzeliłem. Pocisk ugodził Kuradzego akurat w chwili, w której uwolnił żonę z objęcie”.

Bronił Kozaka razem z kol. Marianem Niedzielskim. Sąd uznał Kozaka za winnego zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia i skazał go z mocy art. 458 pkt 2 k.k. na dwa lata twierdzy.

Hr. Henryk Potocki. W roku 1934 lub 1935 w pensjonacie w Truskawcu poznałem starszego, przystojnego mężczyznę, który siedział samotnie przy sąsiednim stoliku. Był to właściciel Chrzastowa i Koniec-pola, hr. Henryk Potocki. Cały kontakt towarzyski sprowadzał się do wymiany konwencjonalnych grzeczności w rodzaju: „Dzień dobry! — dobry wieczór”, czasem do jakiejś uwagi na temat pogody lub naftusi.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w niespełna dwa miesiące po powrocie z Truskawca do Warszawy zjawił się w moim gabinecie Paweł Potocki i powierzył mi obronę swego ojca, Henryka. Ale jeszcze bardziej zdziwiony był Henryk Potocki, gdy odwiedziłem go w więzieniu przy ul. Rakowieckiej.

- Czy pan, panie mecenasie, w Truskawcu na jedną chwilę bodaj przypuszczał, że się tu spotkamy!? Jakież to dziwne są koleje losów ludzkich!? No, ale wie pan, nauczyłem się tu wiele, poznałem dwie prawdy: być na wszystko przygotowanym i niczemu się nie dziwić!
- Mam nadzieję, że wkrótce pozna pan trzecią podobną prawdę: należy i można pokonywać wszelkie przeciwności losu!

Henryk Potocki był prezesem Rady Nadzorczej Akcyjnego Towarzystwa w Żyrardowie, które władało miejscowymi fabrykami włókienniczymi. Właścicielem portfela akcji był kapitał francuski, a w jego imieniu niejaki Boussac, zięć ówczesnego premiera francuskiego Flandina, pierwszorzędny kombinator, który robił różne finansowo-dewizowe posunięcia. Hr. Potocki nie miał zielonego pojęcia o tych zabiegach i wybie-

gach Boussaca, siedział w Radzie Nadzorczej właściwie dla reprezentacji i za to pobierał dość wysokie uposażenie. Nie orientując się w niczym, podpisywał podsuwane mu sprawozdania, aż wreszcie sprawą zajęła się prokuratura. Boussac zdołał uciec, a Potocki powędrował do więzienia.

W ciągu kilku miesięcy ukończono śledztwo i sprawa zakończyła się umorzeniem postępowania w stosunku do Potockiego, który po miesięcznym pobycie w więzieniu odzyskał wolność.

Nie gardzić żadnym karteluszkciem! W resursie obywatelskiej w Kowlu naczelnik miejscowego urzędu skarbowego grał w karty ze swymi znajomymi. Zmuszony siłą wyższą, pospieszył do pewnego dyskretnego apartamentu i tu, poszukując papieru, natrafił na pismo adresowane do plenipotenty dóbr J.O.X.N.N. Przedstawiciel zagranicznego towarzystwa zawiadamiał uprzejmie, że zgodnie z życzeniem J.O. Księcia wysłał kilka losów. Pismo było zabrudzone, na poły podarte, ale dla naczelnika urzędu skarbowego przedstawiało nielada atrakcję. Strzepnął pył z pisma, wygładził je, starannie złożył, schował do portfela i uradowany powrócił do zielonego stolika.

W jakiś czas później radca prawny J.O. Księcia N.N. powierzył mi jego obronę w sprawie z oskarżenia o naruszenie przepisów o monopolu loteryjnym, o uczestniczenie w działalności loterii zagranicznej.

Plenipotent miał niewątpliwie bardzo niewyraźną minę, gdy się tłumaczył, dlaczego pismo to porzucił w pewnym miejscu. Naczelnik w Kowlu otrzymał zapewne pochwałę, a księżę jakąś karę, której w szczegółach już nie pamiętam. „Nie gardzić żadnym karteluszkciem! — oświadczył naczelnik urzędu skarbowego w roli świadka — uczono mnie tego i nauka się przydała!”

„Jak pan to odgadł?” Hrabina X., słynna ongiś piękność, była już w mocno leciwym wieku, gdy mnie odwiedziła w gabinecie mym w Warszawie. Długo opowiadała o swych stołowych srebrach, z których pewna część zniknęła w tajemniczy sposób. „Kto to mógł zhrobić?” — z takim pytaniem zwróciła się do mnie.

Ponieważ znajomy mój, który skierował ją do mnie, opowiedział mi coś niecoś o stosunkach panujących w pałacyku hr. X. — przeto zacząłem uprzejmie wypytywać o wszystkich domowników. Hrabina X wymieniła całą służbę, kucharzy, kuchcików, lokajów, pokojowych, stangretów itd., a ja z uporem maniaka zapytywałem o członków rodziny mieszkających z nią. Zauważyłem, że hr. X. z pewną jakby urazą odpowiada na moje pytania dotyczące członków rodziny, natomiast przedstawia bez osłon swą służbę.

Gdy już zdołałem z pewnym prawdopodobieństwem wyrobić sobie zdanie i ustalić przypuszczalnego sprawcę, oświadczyłem, że mam pewne wątpliwości, czy zechce złożyć skargę prokuratorowi w tej sprawie.

— Ależ oczywiście złożę, phroszę pana!

— I zdecydowałyby się pani oskarżyć o kradzież (...) — i tu wymienilem krewniaka.

Spojrzała na mnie złym okiem, była dotknięta do żywego mym pcsądzeniem.

— Pan mnie obhraża! — zawołała.

W miarę jak jej udowadniałem mój pogląd na sprawę, oburzona twarz zaczęła tracić groźne rysy, oczy przybrały matowy wyraz, dolna warga obwisła, z piersi wydobyło się głębokie westchnienie.

— Muszę się nad tym poważnie zastanowić — to nie jest phrosta sphrawa!

Odwiedzę pana.

Po kilku dniach odwiedziła mnie.

— Z przykhrością muszę przyznać — miał pan hrajcę. Przyznał się, thrudno, nie mogę się komphromitować.

Po chwili rzuciła pytanie:

— Jak pan to odgadł?

Sprawa była jasna i prosta. Nie trzeba było być Sherlokiem Holmesem, aby wskazać sprawcę. Niestety, poszkodowana ani na chwilę nie przyjęła w swych dociekaniach tej ewentualności, lecz od razu podejrzenia swe skierowała wyłącznie w stronę służby.

„Nie bawić się w proroków!” Odgadywanie treści wyroku, jaki ma zapaść w danej sprawie, jest zjawiskiem dość powszechnym w adwokaturze. „Jak kolega myśli? Skáže? a może uniewinni? Kto wie — a może zawiesi karę? Nie podobało mi się to pytanie przewodniczącego! Chociaż, właściwie powinni uniewinnić”. Takie i dziesiątki podobnych pytań zaprzatają uwagę obrońców. Oczywiście wśród klienteli zjawisko to jest bardziej rozpowszechnione. Klient często zwraca się do swego obrońcy z zapytaniem: „Jak pan myśli, panie mecenasie, jaki też będzie wyrok?” Z chwilą gdy sąd udaje się na naradę, każdy klient stawia podobne pytanie swemu obrońcy.

Doskonałą, dowcipną uwagę na ten temat słyshałem kiedyś z ust rabina Posnera. Gdy oskarżony, którego bronilem, zagadnął mnie w czasie narady sądu, jakiz też będzie wyrok, rabin Posner, usłyshawszy pytanie, odciągnął mnie na bok i rzekł: „Widzisz pan, panie mecenasie, prorokiem można być na pięć lat naprzód, ale nigdy na kilka godzin. A wisz pan dla czego? Bo przez te pięć lat to jednemu szlag trafi, drugi umrze, a trzeci

potrzebuje zapomnieć. A tu, jak już sąd ogłosi wyrok, podchodzi klient do adwokata, który mu co innego wyprorokował, i pyta: «Ny?». I jak pan potrzebuje wtedy wyglądać?!”

* * *

Sylwetki sędziów warszawskich. Rozmowy ze wspomnieniami przywodzą na pamięć nie tylko fabuły spraw, w których broniłem, lecz również i ludzi, z którymi siłą rzeczy stykałem się w toku rozpraw sądowych. Czas zatarł w pamięci wiele nazwisk, zachowały się jednak mniej lub więcej wyraźne sylwetki osób.

Sędziowie w okresie międzywojennym, zwłaszcza w pierwszej jego połowie, należeli przeważnie do starszej generacji. Mówię tu o aparacie sądownictwa na terenie b. zaboru rosyjskiego. Długie lata spędzili w pracy w sądach centralnej Rosji, Galicji, w adwokaturze. Wszyscy — oczywiście z uniwersyteckim wykształceniem, z odpowiednią aplikacją i wieloletnią praktyką — reprezentowali typ ludzi doświadczonych, opanowanych, pracowitych, szanujących własną godność i stanowisko obrońcy. Naturalnie, jak zawsze i wszędzie, miały i tu miejsce mniej ciekawe wyjątki. Pewna część sędziów, zwłaszcza tych w zaawansowanym wieku, skostniała w znacznym stopniu w rutynie. Tkwiąc wspomnieniami w swej pracy sędziowskiej w okresie zaborów, ustosunkowywali się poniekąd formalistycznie do zagadnienia wymiaru sprawiedliwości. Mógłbym tu wymienić szereg sędziów tego typu. Pomijam polityczne zapatrywania sędziów. Nie miały one wpływu na ocenę przestępstw pospolitych, natomiast w sprawach o politycznym podłożu rzecz miała się inaczej, i to niezależnie od reżymu. Oczywiście w okresie sanacji nacisk władz na sądownictwo w tych sprawach znacznie się wzmógł.

Mieliśmy i sędziów młodszych, zwłaszcza śledczych, każdy z nich jednak miał za sobą spory szmat czasu spędzonego w pracy w sądach. W prokuraturze natomiast, z wyjątkiem stanowisk kierowniczych, dominowały roczniki młode. Oczywiście prokuratorzy posiadali wykształcenie uniwersyteckie i kilkuletnią aplikację.

Przypomnę kilka ciekawszych postaci.

W Wydziale Karnym Odwoławczym Sądu Okręgowego w Warszawie w gmachu na placu Krasińskich sędził niemal przez cały okres międzywojenny sędzia Zenon Kozieł-Poklewski. Znali go prawie wszyscy adwokaci. Był to dobry człowiek, jako sędzia łagodny w wymiarze kar, pogodny, dowcipny. Czasem się nachmurzył, marsem przyoblekł czoło, ale na krótko, po czym zrobił jakąś dowcipną uwagę i nastrój po-

godny powracał. Do młodych adwokatów i swych rówieśników zwracał się przeważnie po imieniu, a że sam był człowiekiem w sile wieku, więc niezbyt wielu „mecenasów” występowało w sali, w której sądził. Nie lubił „zaszczytników”, a raczej owego zwrotu, od którego jeszcze dzisiaj przedstawiciele nawet najmłodszej generacji adwokackiej zaczynają obronę.

Pamiętam następujący epizod. Adwokat zaczyna przemówienie od stereotypowego zwrotu: „Wysoki Sądzie, mam zaszczyt bronić (...)” Tu przerywa mu Koziół-Poklewski uwagą: „Rzeczywiście! Wielki to zaszczyt bronić zawodowego złodzieja! No, mów dalej, mów!”

W czasie zaprzysiężenia zwracał baczną uwagę na postawę świadka. W sali, w której sądził, podłoga była ułożona z desek biegnących prostopadle do stołu sędziowskiego. W chwili składania przysięgi spoglądał na stopy świadka i gdy tylko zauważył, że świadek oparł stopy na dwóch deskach, przerywał przysięgę i polecał mu stanąć obu stopami na jednej desce! „Znamy się na tych kawałach — wołał — Pana Boga i sądu nie oszukacie!” Nie wiem, może rzeczywiście były takie typy świadków, którzy uważali, że postawa nóg zapewnia im swobodę łgania i przekreśla wartość przysięgi.

Bardzo często w komplecie, któremu przewodniczył Koziół-Poklewski, brał udział sędzia Chwalibóg, namiętny zwolennik gry w domino. Gdy zbliżała się godzina piąta po południu, Chwalibóg zaczynał się niecierpliwić. W kawiarni Semadeniego na placu Teatralnym pod filarami gmachu teatralnego schodzili się o tej porze stali partnerzy gry w domino. Chwalibóg referował sprawy, a myślami tkwił już w kawiarni i grał w domino. Koziół-Poklewski znał tę namiętność kolegi i czasem rozmyślnie przedłużał sesję, spoglądając z uśmiechem na Chwaliboga, który zniecierpliwiony, zły zacierał nerwowo dłonie. O sędzi Poklewskim krążyło mnóstwo anegdot wśród adwokatów.

Miron Chyczewski, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie, był człowiekiem nerwowym, kostycznym, impulsywnym. Często też dochodziło do krótkich spięć na rozprawie między nim a adwokatami, a niezadko — do kontrowersji z prokuratorem. Nie cieszył się sympatią kolegów i adwokatów. Zachowaniem swym przypominał owego „radcę” z powieści Ernesta Lothara „Młyn sprawiedliwości”. Po zamknięciu przewodu sądowego zabierał się do pisania wyroku, nie zwracając najmniejszej uwagi na przemówienia stron. Nie przywiązywał wagi do wywodów. Uważał, że sam najlepiej oceni materiał dowodowy, i tym samym odrzucał wszelką wartość obrony, a rolę obrońcy sprowadzał do śmiesznej, irytującej formalności.

Gdy raz znalazłem się w podobnej sytuacji, zagadnąłem Chyczewskiego: „Czy aby przypadkiem nie przeszkadzam panu sędziemu?” „Bynajmniej!” — odpowiedział z całym spokojem i pisał dalej. Wówczas oświadczyłem: „Stwierdzam, że w czynie zarzuconym podsądnemu są cechy przestępstwa, lecz kwalifikacja przyjęta w akcie oskarżenia jest błędna. Jaki artykuł powinien tu być zastosowany, powiem przy końcu swego przemówienia”. Chyczewski podniósł głowę, przerwał pisanie i zaczął słuchać. Szybko uporałem się z argumentami obrończymi i zażądałem uniewinnienia. Chyczewski zirytowany zawołał: „Jak to!? Miał pan przecież mówić o kwalifikacji prawnej przestępstwa!” „Skończyłem, panie sędzio, proszę o uniewinnienie”. Oczywiście starałem się w ten sposób zmusić go do wysłuchania mego przemówienia. Nie łudziłem się ani na chwilę, że benewolencji jego nie zdobędę!

Jan Gumiński był przed pierwszą wojną, o ile mnie pamięć nie zawodzi, adwokatem. W roku 1917 przeszedł do służby w sądownictwie, następnie w prokuraturze, zajmując z czasem coraz to wyższe stanowiska. Po wyzwoleniu w 1945 r. objął odpowiedzialny posterunek prokuratora Sądu Najwyższego w ówczesnej siedzibie w Łodzi. W okresie międzywojennym stykałem się z nim bardzo często i w VIII Wydziale Karnym, któremu przewodniczył, i w prokuraturze. Gumiński należał do wartościowych pod wielu względami pracowników w sądownictwie. Zdolny, wykształcony, sumienny w pracy, o pogodnym usposobieniu (na kilka lat przed zgonem ciężka choroba oczu wpłynęła depresyjnie na jego usposobienie), cieszył się uznaniem kolegów i szacunkiem adwokatów.

Pamiętam proces kilku pracowników Dyrekcji lasów państwowych w Białowieży. Bronilem zastępcę dyrektora; prócz mnie występowało kilku kolegów. Sprawa duża, skomplikowana, obejmowała z dziesięć tomów śledztwa pełnych rozliczeń, ekspertyz, rachunków itp. Nadto podsądni przerzucali winę na innych współoskarżonych i dalej komplikowali stan rzeczy. Rozprawie przewodniczył Gumiński i on też był referentem. W toku rozprawy zgłosiłem wniosek o ujawnienie jakiegoś dokumentu, podałem tom i stronę akt. Natychmiast zerwał się jeden z obrońców i oświadczył z tupetem, że takiego dokumentu nie ma w aktach. Gumiński spojrział na niego pytającym wzrokiem i po chwili ogłosił postanowienie: „Sąd zgodnie z wnioskiem obrońcy adwokata Jarosza postanowił odczytać dokument w tomie (...)” — i tu zapytał mnie o tom i stronę. Po odczytaniu dokumentu zwrócił się do mego antagonisty z pytaniem: „Na jakiej podstawie zakwestionował pan istnienie dokumentu w aktach sprawy?” Milczenie i nieciekawy wyraz twarzy były całą odpowiedzią. Otrzymałem

całkowiłą satysfakcją. Gumiński nie sprawdzając, ogłosił postanowienie zgodne z moim wnioskiem, a tym samym potępił niepoważny wyskok myślowy owego kolegi.

Prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie Feliks Dutkiewicz, późniejszy kierownik ministerstwa sprawiedliwości, przewodniczył od czasu do czasu na sesjach wydziału karnego. Sędzia o dużym doświadczeniu zawodowym i życiowym, umysł bystry i przenikliwy, miał pewne słabostki charakteru, a raczej dziwactwa. Na obwolicie akt kreślił ołówkiem znaki, np. krzyżyk, literę „u” lub znak zapytania. Kiedyś przed rozprawą poprosiłem sekretarza o akta. Wręczając mi je, rzekł: „Szkoda czytać, panie mecenasie, wyrok będzie zatwierdzony”. „Skąd pan wie o tym?” — zapytałem. „O, widzi pan tu na aktach ten krzyżyk? To znaczy, że sąd wyrok zatwierdzi”. Spojrzałem niedowierzająco na mego rozmówcę, następnie zapytałem o znaczenie innych znaków. Rzeczywiście, wyrok w mej sprawie zatwierdzono. W innej opatrzonej znakiem „u” wyrok uchylono i oskarżonego uniewinniono.

W czasie przerwy w rozprawach zjawił się na sali mecenas Henryk Ettinger i poprosił o akta. Zerknąłem na obwolicę i dojrzałem nakreślony krzyżyk. „Szkoda czytać, panie mecenasie, wyrok będzie zatwierdzony!” I opowiedziałem mu wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć. „A to ciekawe — rzekł Ettinger — krzyżyk, no, no, zaczekajcie kolego, skorzystam z Waszej informacji”. Jakież było moje zdziwienie, gdy po udzieleniu głosu Ettingerowi ten spokojnym tonem zaczął obronę od następujących słów: „Tak się dziwnie, proszę Sądu, składa, że w tej sprawie karnej, w której bronię dwóch ortodoksyjnych Żydów, muszę moją obronę prowadzić pod znakiem... krzyża!” Dutkiewicz w lot zrozumiał dowcip Ettingera, szybko złożył akta i starł palcem krzyżyk. Znaki na aktach już się więcej nie pojawiały. Dutkiewicz odznaczał się dobrą pamięcią, kreślił te znaki po prostu na skutek jakiegoś dziwactwa.

Tadeusz K r a s s o w s k i przez długie lata sądził w Sądzie Okręgowym w Warszawie, a na krótko przed wybuchem wojny przeszedł do Sądu Apelacyjnego. Był to zacny człowiek, dobry sędzia, uprzejmy, pogodny, dowcipny.

Pamiętam taki epizod. Kolega Franciszek Paschalski bronił jakiegoś homoseksualistę, który grasował w poczekalniach kolejowych, tam wyszukiwał kandydatów do swych przyjemności i pod różnymi pozorami zwabiał ich do domu. Pewnego razu zdołał namówić dwóch żołnierzy powracających z urlopu. W rezultacie stanął przed sądem w roli oskarżo-

nego. Rozprawie przewodniczył sędzia Krassowski. Przez salę przewinęło się kilkunastu młodych ludzi w charakterze świadków.

— Jakżeż to było, opowiedzcie sądowi — zwrócił się do żołnierza.

— Ano, proszę Sądu, podszedł do nas oskarżony i zapytał: „A skąd to wracacie, moi kochani?” Z urlopu — odpowiedziałem. „No to pewnie jesteście zmęczeni drogą i głodni. Chodźcie do mnie, odpoczniecie, moi kochani, zjecie coś, napijecie się, nie pożałujecie, moi kochani!” — No i poszliśmy.

Paschalski zadając pytanie świadkowi, zaczynał bardzo często od słów: „Powiedzcie mi, moi kochani”. Gdy więc tymi słowami rozpoczął swe pytanie, sędzia Krassowski z całym spokojem zauważył: „Panie adwokacie, proszę używać innych słów, bo może pan być źle zrozumiany przez świadka, może zająć jakieś nieporozumienie.” Paschalski zrozumiał dowcip sędziego, uśmiechnął się i zmienił formę pytań.

Piotr Orłowski był przez kilka lat prezesem Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Był to człowiek benedyktyńskiej pracowitości, dokładny, sumienny w studiowaniu spraw, w wygłaszaniu referatów, a przy tym bardzo uprzejmy. Może tylko za wiele uwagi zwracał na swoją prezencję w roli przewodniczącego. Znał wszystkie sprawy, jakie były na wokandzie, i znał je lepiej niż referenci.

Pamiętam kilkudniowy, duży proces. Była to sprawa Bispinga. Akta obejmowały kilkanaście tomów w języku rosyjskim i w polskim przekładzie. Orłowski referował sprawę. Ale jak? W ciągu kilku godzin streszczał materiał dowodowy, mówił z pamięci, czasem, bardzo rzadko, sięgał ręką po jakiś tom i odczytał fragment dokumentu lub urywek zeznań, po czym mówił dalej. Zwracając się do obu sędziów, trzymał cały czas w napięciu ich uwagę. Nie znałem drugiego, który by z taką wiernością odtwarzał stan sprawy. Później sędzia Sądu Apelacyjnego Adam Jamiński, pracowity, zdolny człowiek starał się iść w jego ślady.

Orłowski słuchał zawsze wywodów obrony. Zdawałoby się, że przy takiej znajomości przedmiotu, po tak dokładnym referacie, obrona już nie nowego do sprawy nie wniesie. Orłowski słuchał, wiedział bowiem dobrze o tym, że krytyczna ocena materiału z pewnego punktu widzenia ma doniosłą, a może nawet donioślejszą wartość niż sama znajomość fabuły ze wszystkimi jej szczegółami.

W obronie Bispinga stawali w roli obrońców z urzędu dwaj koledzy Wacław Bittner i Bronisław Żegilewicz.

Na marginesie niejako tej sprawy chciałbym przytoczyć tu pewien szczegół. W toku kilkudniowej rozprawy zauważyłem w sali rozpraw

księdza, który z niepowседневną uwagą śledził bieg procesu. Po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego w chwili, w której licznie zebrana publiczność zmierzała ku wyjściu, ksiądz ów głośno powiedział: „Sprawiedliwości nareszcie stało się zadość!” — i szybko opuścił salę. Domyślałem się jeno, że ksiądz ten wiedział, kto był zabójcą. Związany prawdopodobnie tajemnicą spowiedzi, milczał i dopiero po ogłoszeniu wyroku zdobył się na taką wypowiedź.

* * *

Z długoletniej mej praktyki obrończej wyniosłem następujący pogląd: im zdolniejszy sędzia, im bardziej pracowity, wykształcony i sumienny, tym uważniej słucha dobrze przygotowanej obrony. Sędzia leniwy, zarozumiały, słabo wykształcony, płytki uważa, że tylko on zna sprawę najlepiej. Obrona mu nie zaimponuje, wątpliwości nie ma żadnych. Nie dość tego. Dokładnie opracowane wywody obrony uważa za pewnego rodzaju impertynencję! Jak śmie adwokat uczyć go, wysuwać wątpliwości, kiedy wszystko jest jasne i proste! Wątpliwości nie może tu być żadnych!

„Młodych wątpliwości nie nękają” — powie mi kto. Zapewne. Wątpliwości zjawiają się w okresie refleksyjności umysłu, występującej w przeddzień retrospekcji życiowej. Jednakże sędzia młody wiekiem, a poważny swym krytycznym, sumiennym stosunkiem do zagadnienia, które ma rozstrzygnąć, chętnie skorzysta z wywodów obrońcy i opierając się na rzetelnej znajomości przedmiotu, znajdzie właściwe, słuszne rozstrzygnięcie w najbardziej skomplikowanej sprawie.

Wiadomo, że praca sędziowska wyczerpuje umysł, nuży. Wokanda złożona z kilkunastu spraw zmienia się niekiedy w koszmarnie zajęcie. Trudności w wydobyciu — bo tak należy to określić — odpowiedzi na pytania stawiane nieinteligentnym, nierozgarniętym świadkom i podsądnym, rozwlekłe, pełne mętnych wywodów przemówienie obrońcy mogą w rezultacie doprowadzić sędziego do chwilowej utraty spokoju i równowagi. Ale te wszystkie wyżej opisane zjawiska nie tłumaczą negatywnego nastawienia sędziego do podsądnego, świadków, obrony, nie usprawiedliwiają podniesionego głosu, uderzenia pięścią w stół, cierpkich i złośliwych uwag, jak to miało — i niestety ma jeszcze — miejsce.

Sprostowanie. W poprzednim numerze „Palestry” (nr 10—11 z 1958 r.) w artykule „Trzy po trzy” pióra Mieczysława Jarosza wkraść się błąd drukarski na str. 52 w wierszu drugim od góry, zamiast bowiem słów „aktor Stefan Jarosz” powinno być „aktor Stefan Jaracz”.